



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jan Ryszard Sempka – „Sztychnicki”<sup>1</sup>

## Wspomnienia, których nie da się zapomnieć

W bardzo ciężkich czasach przyszło żyć dzieciom – moim rówieśnikom. Kiedy wybuchła wojna, miałem zaledwie 11 lat. Rosłem i dojrzewałem w latach pogardy i strasliwego terroru ze strony okupanta hitlerowskiego. W Warszawie przeżyłem cały czas okupacji. Wcześniej musiałem stać się dorosłym. Już na przełomie lat 1939-1940, mając starszego o 11 lat brata Wacława oraz o 3 lata siostrę Marię, uczennicę gimnazjum, zetknąłem się z pracą konspiracyjną, wykonując różne zlecane mi przez brata zadania. Było to głównie przekazywanie informacji ustnych lub pisemnych pod wskazany adres bądź też znajomej mi osobie, w określonym miejscu. W późniejszym okresie przenosiłem prasę konspiracyjną, a także przekazywałem informacje o domach przejściowych, o znakach i numerach remontowanych samochodów wojskowych w Fabryce Samochodów Osobowych „Polski Fiat” przy ul. Sapieżyńskiej 6 (mieszkaliśmy w domu należącym do „Polskiego Fiata”, w której to fabryce pracował mój ojciec i brat).

W latach 1940-1942, chodząc do szkoły powszechnej na Żoliborzu, pomagałem przy dostarczaniu materiałów szkoleniowych na punkty tajnego nauczania w rejonie Żoliborza. W roku 1942 po ukończeniu szkoły powszechnej rozpocząłem pracę i naukę zawodu w Zakładzie Naprawy Samochodów „Obsługa Samochodowa” przy ul. Tamka 28 w Warszawie (w zakładzie tym podczas Powstania Warszawskiego wykonano samochód pancerny „Kubuś” znajdujący się obecnie w Muzeum Wojska Polskiego), gdzie zetknąłem się ze starszymi kolegami z konspiracji, z którymi brałem udział w sabotażu polegającym na uszkodzaniu niektórych części w samochodach dostarczanych do przeglądu lub remontu, przedłużając w ten sposób remont tych samochodów, a tym samym wyłączając je z działań wojennych. W tym samym czasie uczęszczałem do Wieczorowej Szkoły Zawodowej nr 10 – Samochodowej (dawna Szkoła Mechaniczna im. M. Konarskiego).

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał mnie na Starówce. Już w pierwszej godzinie brałem udział przy budowie barykady przy skrzyżowaniu czterech ulic: Franciszkańskiej, Kościelnej, Freta i Zakroczymskiej. Budową tej barykady kierował kpt. „Ognisty”. Pracowaliśmy cały czas pod ostrzałem ze sprzężonych działek przeciwlotniczych zlokalizowanych pod Cytadelą przy źródleku na wprost ul. Zakroczymskiej. Z okien mieszkań domów na rogu Zakroczymskiej i Kościelnej, a także Freta i Franciszkańskiej wyrzucano różne przedmioty (m.in. meble) i pod osłoną tych przedmiotów budowano barykadę, wyrwijając płyty chodnikowe, a także przetaczając z ul. Kościelnej żelazny, okrągły słup ogłoszeniowy. Ostrzał ul.

<sup>1</sup> Żołnierz Powstania Warszawskiego na „Starówce” w zgrupowaniu kpt. „Gozdawy”, więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Mauthausen, nr obozowy 95959.

Zakroczymskiej dokonywany był również z gmachu Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, w której stacjonował oddział żandarmerii niemieckiej, a także grupa żołnierzy z oddziałów gen. Własowa.

Następną barykadę przecinającą ul. Zakroczymską naprzeciwko bramy domu nr 9 budowaliśmy 2 sierpnia wcześniej rano. Budowa rozpoczęła się od wykopu z bramy, a następnie ściągano z pobliskiego terenu fabryki „Polski Fiat”, przez wejście z ul. Zakroczymskiej 5, fragmenty karoserii samochodowych i większe kawały metali.

Po kilkakrotnym szturmie powstańców na gmach Wytwórni Papierów Wartościowych, gmach ten zdobyto 2 sierpnia w godzinach przed-południowych. Szturm prowadziły oddziały pod dowództwem kpt. Lucjana Guzińskiego „Gozdawy”. W tym samym dniu zgłosiłem się na punkt werbunkowy przy ul. Długiej 7 i zostałem wcielony do Armii Krajowej (2. dyon zmotoryzowany, 1. pluton, 2. drużyna) pod dowództwo por. „Pilicy” i ppor. „Nałęcz”. Dowódcą drużyny był w pierwszych dwóch, trzech dniach kpr. pchor. „Witek”, a następnie sierżant nazywany przez nas „wachmistrzem”. Zostaliśmy zakwaterowani w budynkach przy ul. Długiej 7.

Poczułem się żołnierzem! Z dumą nosiłem białą-czerwoną opaskę.

Wśród ludności cywilnej zapanował ogromny entuzjazm. Żyliśmy przecież na skrawku wolnej ziemi. Nigdzie na Starówce nie było przecież Niemców. Byliśmy tylko otoczeni. Wkrótce dowiedzieliśmy się, co to znaczy, bowiem Niemcy rozpoczęli bombardowanie Starego Miasta zupełnie bezkarnie. Wiedzieli, że każda rzucona bomba trafi dokładnie w cel – w Polaków. Zastosowali także działa nazywane przez nas „szafami”. Były to 6-strzałowe miotacze min, które czyniły ogromne spustoszenie. Powstańcy dysponowali tylko bronią krótką, karabinami i butelkami z benzyną. I to nie wszyscy.

W dniu 3 lub 4 sierpnia oddział nasz wraz z innymi oddziałami brał udział w ataku na Dworzec Gdański od strony Stawek, lecz po silnym ostrzale został wycofany. Około 6 sierpnia nastąpiło przegrupowanie mojego oddziału. Przekwaterowano nas na ul. Franciszkańską 6 a. Wraz z grupą powstańców z innych oddziałów skierowano nas w okolice ul. Chłodnej i Żelaznej dla wzmocnienia walczących tam oddziałów, lecz na skutek szalejącego pożaru budynków na ul. Chłodnej i silnego ostrzału powróciliśmy w rejon Starówki. Znowu zmieniliśmy kwaterę, przenosząc się na ul. Nowiniarską 6. Wyznaczono nam obronę barykady znajdującej się pod arkadami gmachu sądu na pl. Krasińskich z wylotem na ul. Bonifraterską. Barykady tej broniliśmy do 15 lub 16 sierpnia, po czym zostaliśmy przekwaterowani na ul. Miodową 22 (budynek dawnej fabryki win i wódek Jamasza). W tym mniej więcej czasie zostałem skierowany na ul. Daniłowiczowską (barykada przy ul. Hipotecznej), a następnie do budowy barykady na terenie ratusza (druga brama wewnętrzna pomiędzy pierwszym i drugim podwórzem). Brałem także jeszcze udział w walkach na terenie fabryki skór przy ul. Bolesć (dwa dni), a następnie na barykadach w okolicy Arsenалу (ul. Długa).

Oddział nasz wchodzący w skład zgrupowania kpt. „Gozdawy” był jednostką wydzieloną, stanowiącą odwód w zgrupowaniu, stąd też przerzucano nas w różne miejsca walki, a także do pomocy przy budowie barykad, gaszeniu pożaru lewej wieży kościoła garnizonowego itp. Oddziałem tym dowodził por. „Jar”.

Śmierć codziennie zbierała obfite żniwo. Najtragiczniejszym dniem, jaki przeżyli mieszkańcy Starówki był 13 sierpnia 1944 roku (była to niedziela). W tym dniu Niemcy przygotowali pułapkę-czołg. Upozorowali zdobycie tego czołgu przez powstańców, uciekając z niego i pozostawiając na ul. Podwale. Czołg był zaminowany, o czym nie wiedzieli powstańcy. Urukowali go i wśród entuzjazmu powstańców oraz ludności cywilnej z okrzykami radości „zdobyliśmy czołg!” jechali w kierunku ul. Kilińskiego i Długiej. Bardzo dużo ludzi gromadziło się wokół, każdy chciał chociaż popatrzeć z bliska na zdobycz, a nawet dotknąć. W pewnym momencie, już na ulicy Kilińskiego, nastąpił straszny wybuch i czołg ten został rozerwany na części, zabijając i raniąc setki osób. Krew płynęła ulicą jak woda. Różne szczątki ciał znajdowane były w dużej odległości od tego miejsca, poprzyklejane do murów. Nogi, ręce, głowy porozrzucone były wokół. W masakrze zginęło wielu kolegów z mojego oddziału. Mnie akurat wypadła służba na barykadzie na pl. Krasińskich i być może dzięki temu ocalałem. Pamiętam ten straszliwy huk, krzyki ludzi. Po prostu jedno głośne, przeraźliwe wycie. Zdawało się, że piekło zapanowało na ziemi. Było to straszliwe przeżycie. Od początku sierpnia 1944 roku ginęła ludność cywilna, ginęli koledzy, Starówka była obrzucana pociskami, bombami, ale takiego piekła nie było. We wszystkich jeszcze, jako tako całych pomieszczeniach, organizowano szpitale polowe. Rannych było mnóstwo. Brakowało środków opatrunkowych, leków, a także lekarzy.

Niemcy skierowali na Starówkę zmasowany atak. Oddziały powstańcze były zdziesiątkowane. Wszystkie trawniki, najmniejsze nawet skrawki ziemi zamieniały się w cmentarze. Dookoła paliły się domy. Dom, w którym mieszkałem przy ul. Zakroczymskiej 1, spłonął 17 sierpnia, a mieszkańcy tego domu (m.in. moja mama i dwie małe siostry) przebywali w piwnicach, mając nadzieję, że Niemcy nie będą bombardować spalonych murów. Ponieważ na parterze była szklarnia, roztopione szkło powodowało, że temperatura powietrza w piwnicy dochodziła do 500 stopni, albo i więcej. Nie było czym oddychać, nie było też gdzie uciekać. W tej sytuacji ludność cywilna już z niechęcią odnosiła się do powstańców, obwiniając ich za ten okrutny los, tym bardziej, że już dowiedziała się, że Niemcy na Woli masowo mordowali ludność cywilną.

Po czterech tygodniach bardzo ciężkich walk, przy braku amunicji, żywności, wody, środków opatrunkowych, możliwości jakiegokolwiek odpoczynku wiadomo już było, że Powstanie na Starówce upada, a walczące oddziały będą musiały przebić się kanałami do Śródmieścia lub na Żoliborz.

Dnia 30 sierpnia wieczorem poprosiłem dowódcę, aby zezwolił mi pójść na ul. Zakroczymską 1, gdzie przebywała moja mama wraz z moimi młodszymi siostrami. Chciałem się dowiedzieć, czy jeszcze żyją i ewentualnie pożegnać się z nimi przed przejściem do Śródmieścia. Tej nocy oddziały niemieckie odcięły ulicę Zakroczymską od strony ulicy Franciszkańskiej i Kościelnej. Znajdujący się na tym terenie powstańcy (wśród nich i ja) przebiegali się pospiesznie w ubrania cywilne, bowiem Niemcy rozstrzelali uczestników walk.

Hitlerowcy wypędzali mieszkańców znajdujących się na tym terenie przez teren zburzonej hali montażowej „Polskiego Fiata”, a następnie pędzili do Parku Traugutta. Tam oddzielali kobiety od mężczyzn, formując osobne kolumny i popędzili nas przez zburzone getto na teren magazynów przy ul. Stawki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności kolumna, w której szedłem, zatrzymała się obok stojącej kolumny kobiet, wśród których spotkałem moją mamę i dwie siostry (dwunastoletnią Basię i czteroletnią Wandzię). Mama dała mi trochę wody z czajnika, który niosła ze sobą, a także kilka kostek cukru. Zdążyłem się jeszcze pożegnać z moimi najbliższymi i moją kolumnę Niemcy popędzili ulicami Okopową i Wolską, wpędzając wszystkich do kościoła św. Wojciecha na Woli. Mężczyźni zostali zatrzymani na terenie cmentarnym koło kościoła, kobiety i dzieci wpędzono do środka. Z grupy mężczyzn SS-mani wybrali dwudziestokilkusobową grupę (w której i ja się znalazłem) i zaprowadzili nas na zaplecze kościoła do wolnostojącego budynku (prawdopodobnie był to budynek szkolny) – w celu uporządkowania znajdujących się tam pomieszczeń. Kazali nam wyrzucać na podwórko różne przedmioty, np. sienniki, które później podpalili. Na stosie tym spalili również trupa jakiegoś mężczyzny.

Po kilku godzinach pracy SS-mani przyprowadzili nas powtórnie do kościoła, wpędzili do podziemi i zamknęli. Nie było już grupy, z którą przyszedłem ze Starówki. Prawdopodobnie ludzi tych wywieźli do obozu w Pruszkowie.

Kiedy pędzono nas do pracy – widzieliśmy prowadzoną przez Niemców grupę powstańców czterech albo pięciu chłopców i jedną dziewczynę. Po krótkim czasie usłyszeliśmy strzały, a następnie żołnierze niemieccy wrócili już bez tej grupy. Należy się domyśleć, że byli to powstańcy, których rozstrzelano. Tego samego dnia wieczorem do podziemia kościoła Niemcy przyprowadzili grupę mężczyzn. Z ich rozmowy zorientowałem się, że była to grupa wykorzystywana przez Niemców do rozbierania barykad, a także innych niebezpiecznych prac w polu obstrzału powstańców. Mówili, że pilnujący ich żołnierze niemieccy zastrzelili podczas pracy dwie albo trzy osoby. W podziemiu kościoła było ciemno, dlatego nie mogłem zorientować się, jak liczną grupę wpędzono. W późnych godzinach wieczornych na dziedziniec kościoła przyprowadzono innych ludzi (słyszeliśmy krzyki, nawoływania). Zorientowaliśmy się, że kierowani są do niebezpiecznych zadań. Dlatego też w nocy wraz z moim kolegą, a zarazem sąsiadem – Zbyszkim Wąsowiczem, udało nam się przez okienko wydostać się na zewnątrz i włączyć do uchodźców ze Starówki. Następnego dnia rano SS-mani wypędzili wszystkich ludzi z terenu kościoła. Szliśmy ulicami Wolską i Bema na Dworzec Zachodni, gdzie załadowali nas do pociągu elektrycznego i przewieźli do obozu przejściowego w Pruszkowie. Pociąg wjechał na teren obozu. W Pruszkowie spotkałem znajomych i sąsiadów ze Starówki, nie uzyskałem jednak żadnej informacji, co się dzieje z moją mamą i dwiema młodszymi siostrami.

Następnego dnia rano żołnierze niemieccy wypędzili nas z hali, w której nocowaliśmy, śpiąc na betonie i grupę liczącą ponad trzy tysiące osób popędzili do pociągu towarowego, ładując po 60 do każdego wagonu. W wagonach byli mężczyźni, kobiety i dzieci. Następnie wagony te zadrutowano i pod konwojem żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe pociąg wyjechał z terenu obozu przez Koluszki. Wieczorem pociąg zatrzymał się na stacji w Częstochowie.

Na stacji oprócz Niemców było kilka osób z opaskami RGO, które usiłowały podać nam przez okienka trochę żywności i wody.

Podano również opaskę RGO i jednej osobie (mężczyźnie) udało się przez okienko wydostać na zewnątrz. Po krótkim postoju pociąg ruszył i następnego dnia zatrzymał się w godzinach przedpołudniowych już na terenie Sudetów (w polu). Niemcy otworzyli wagony, otoczyli w pewnej odległości pociąg i pozwolili ludziom wyjść dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Po pewnym czasie konwojujący SS-mani wpędzili powtórnie wszystkich do wagonów, ale wagony nie były już zadrutowane. W pociągu krążyła informacja, że wiozą nas na roboty do winnic w okolicy Linzu. Następny postój pociągu miał miejsce w Wiedniu, w nocy. Podano nam wówczas trochę rozgotowanej kaszy.

Dnia 4 września 1944 roku około godziny 11 pociąg zatrzymał się na stacji w Mauthausen. Wśród ludzi powstała panika, bowiem nazwa ta była wielu osobom znana. Pociąg stał około dwóch godzin i nic się nie działo. Kolejarze mówili, że czekają na wolną trasę i że jedziemy do Linzu. Około godziny trzynastej pociąg został otoczony przez SS-manów, którzy gwałtownie wyrzucali ludzi z pociągu, kazali formować się w kolumny. Pędzili nas przez miasto w niewiadomym kierunku. Za miastem ujrzeliśmy w pewnej odległości na górze warowny obóz. Widoczne były kamienne mury z wieżyczkami strażniczymi. Zorientowa-

liśmy się, że nie prowadzą nas na roboty do winnic, ale że droga wiedzie do znanego niektórym z nazwy obozu koncentracyjnego.

Mężczyzn wpędzono przez olbrzymią, drewnianą bramę na teren obozu, kobiety z dziećmi zatrzymano przed murem na zewnątrz. SS-mani zapędzili nas na plac znajdujący się między murem a blokami, w których mieściła się łaźnia i jakiś inny blok, chyba gospodarczy. Polecili nam rozebrać się do naga, pozwalając jedynie pozostawić buty i pasek lub szelki. Następnie kazali wszystkim zdać do depozytu kosztowności, pieniądze, dokumenty i pamiątki. Na placu tym byliśmy przetrzymani do godzin wieczornych, a następnie grupami zapędzili nas do łaźni. W łaźni wszystkich ostrzyżono do gołej skóry, goląc przez środek głowy pas szerokości 3-4 cm. Ze względu na brak wody, z powodu uszkodzonych przewodów, wypędzono nas z łaźni drugim wyjściem, przy którym stali więźniowie i każdemu wychodzącemu rzucano po jednej sztuce bielizny: koszulę lub kalesony, bardzo zniszczone, z jedną nogawką krótszą, koszule bez rękawów itp. Wśród krzyku i bicia SS-mani pędzili nas centralną ulicą obozu (podzielonego na trzy części) do ostatniej jego części, tzw. lagru trzeciego. Było już ciemno, teren obozu nie był oświetlony. Wpędzono nas do ciemnych baraków parterowych i kazano siadać na podłodze w rozkroku, zaczynając od ściany z lewej strony baraku. Odbywało się to przy bieganiu „funkcyjnych”, a więc blokowego i kapo. W ten sposób wcisnięto do bloku tyle osób, ile tylko dało się upchnąć.

Więźniowie siedzieli przez całą noc na gołej podłodze, ściśnięci, natomiast z prawej strony baraku, poukładane były aż do sufitu materace. W nocy siedzący przede mną więzień wstał i wyszedł z baraku. Następnego dnia znaleziono go wiszącego na pasku umocowanym do belki w pomieszczeniu umywalni, miał on również podcięte żyły. Wokół niego było pełno krwi. Słyszałem z opowiadań współwięźniów, że był to właściciel apteki ze Starówki. Nie wytrzymał nerwowo i popełnił samobójstwo.

Przed wschodem słońca wypędzono więźniów z pięciu baraków, ponumerowanych od nr 26 do 30. Było bardzo zimno, temperatura musiała spaść poniżej zera, ponieważ dookoła wszystko pokryte było szronem. Ludzie ogrzewali się własnymi ciałami, tworząc tak zwane „kominki”, to jest przytulając się jeden do drugiego w grupach po kilka osób. Widok więźniów ogolonych, w pojedynczych częściach podartej bielizny, był okropny, nie poznawali siebie nawet najbliżsi znajomi.

To pierwsze zetknięcie z obozem koncentracyjnym było przerażające. Od przybycia do obozu, a właściwie od skromnego posiłku otrzymanego w Wiedniu, nie otrzymaliśmy nic do jedzenia ani do picia. Po kilku godzinach stania na dworze przyniesiono na teren tej części obozu kilka stołów i rozpoczęła się rejestracja więźniów, to jest spisywanie personaliów i nadanie każdemu z nas numeru obozowego. Ja otrzymałem numer 95959 i przydzielono mnie do bloku nr 27.

Pogoda w tym dniu, jak również w dniach następnych, była piękna mimo przymrozków w godzinach nocnych i nad ranem. W południe temperatura dochodziła do 35 stopni. Przez cały dzień blokowi nie wpuszczali nas do wewnątrz baraków. Cały dzień musieliśmy stać na placu pozbawionym jakichkolwiek drzew. Przy silnych upałach staraliśmy kryć się w cieniu baraków obozowych i muru.

Przyniesioną z kuchni dla więźniów kawą na śniadanie blokowy kazał młodocianym więźniom myć podłogę w baraku. Innym więźniom jedną porcję kawy (ciemnego płynu), nalaną do miski, przydzielał dla trzech, czterech osób w ten sposób, że kolejno piliśmy po kilka łyków tego gorzkiego płynu. Na skutek nadmiernego przegrzania zdarzyło się kilka porażień słonecznych. Jednemu z więźniów spuchła część twarzy do tego stopnia, że nie widać było oka. Już w pierwszych dniach pobytu w obozie, na tzw. kwarantannie, niektórzy więźniowie chorowali na biegunkę. Więźniów tych zabrano do obozowego szpitala tzw. rewiru. Okres kwarantanny dla mnie trwał do dnia 12 września 1944 roku. W tym dniu w godzinach rannych wraz z grupą liczącą ponad 400 osób przewieziono mnie do podobozu w miejscowości Melk. Poprzedniego dnia każdemu z więźniów wydano bieliznę tj. koszulę i kalesony, a także spodnie, bluzę i okrągłą czapkę w szaro-niebieskie pasy. Każdy z więźniów otrzymał również dwa paski materiału, na których drukowany był czerwony trójkąt (oznaka więźnia politycznego).

Na paskach tych chemicznym ołówkiem musieliśmy wypisać numer obozowy nadany każdemu więźniowi. Paski te musieliśmy przyszyć jeden do bluzy z lewej strony nad piersią, drugi natomiast na lewej nogawce spodni z boku, powyżej kolana.

Do Melku, oddalonego około 90 km od Mauthausen i mniej więcej tyle samo kilometrów od Wiednia, przybyliśmy w godzinach południowych. Obóz zlokalizowany był w dawnych koszarach wojskowych. Na terenie obozu stało kilka murowanych budynków, niektóre dwu- i trzypiętrowe; ustawionych było także kilka baraków. Samo wejście do obozu nie wróżyło nic dobrego. Podwójne zasieki z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym, wieże strażnicze z wartownikami uzbrojonymi w broń ręczną i maszynową. Przy wejściu na teren obozu stał słup, do którego za ręce i nogi był przywiązany więzień, ukarany za jakieś „przewinienie”. Na terenie obozu spotkaliśmy więźniów, niektórzy z nich ręką usiłowali z pustych kotłów po zupie wygarnąć ze ścian resztki pożywienia. Niektórzy znów próbowali zdobyć jakiegokolwiek resztki pożywienia ze znajdujących się tam śmietników. Oczywiście czynili to po kryjomu, ponieważ za takie postępowanie groziły wysokie kary (w najlepszym razie pobicie przez SS-manów, bądź też niektórych funkcyjnych).

Całą naszą grupę, która przybyła z Mauthausen przydzielono do bloku nr 13, znajdującego się w dużym pomieszczeniu na pierwszym piętrze. Pomieszczenie to podzielone było na cztery części deskami (z dużymi przeswitami). Każda część stanowiła odrębny blok, to jest blok nr 10, 11, 12 i 13. Ogółem w całym tym pomieszczeniu znajdowało się około 2 tysięcy więźniów. Każdy blok miał swoje władze blokowe, to jest: blokführera SS-mana, blokowego więźnia, schreibera (pisarza) i innych funkcyjnych. Blokowym naszym został Niemiec z zielonym trójkątem – oznaką, że jest to więzień kryminalista. Natychmiast zarządził zbiórke, wyznaczył szereg osób do różnych prac związanych z uporządkowaniem i urządzeniem bloku.

Pomieszczenia te kilka tygodni wcześniej zostały zbombardowane przez wojska alianckie, a potem świeżo odbudowane. Urządzenie bloku polegało przede wszystkim na przyniesieniu i ustawieniu trzydziu poziomowych przyz przylegających jedna do drugiej, z wąskimi przejściami umożliwiającymi dostanie się do poszczególnych „legowisk”.

Na przyczach tych, zbitych z nieheblowanych desek, ułożone były worki papierowe wypełnione drewnianymi wiórami. Na każdym „legowisku” były po dwa stare, powycierane, szare, cuchnące koce (derki).

Tego samego dnia założono ewidencję (kartotekę) każdego więźnia i podzielono nas na grupy robocze, tzw. komanda. Mnie przydzielono do pięćdziesięciosobowej grupy noszącej nazwę komando Keller Lutz Wasser. Nazwa komanda pochodziła od nazwy firmy, na rzecz której pracowali więźniowie. Następnego dnia rano około godziny czwartej zbudził nas głos dzwonu, a następnie krzyk blokowego i wyznaczonych funkcyjnych: pisarza blokowego tzw. schreibera i kapo, którzy z krzykiem „aufstehen” (wstawać) biegali po bloku. Pierwsze napotkane przez funkcyjnych osoby zostały popędzone do kuchni po śniadanie składające się z kubka czarnej, gorzkiej wody (tzw. kawy) oraz 1/8 części bochenka kilogramowego chleba czarnego. W tym samym czasie, w pośpiechu, przy krzyku i popędzaniu, więźniowie musieli ubrać się, przygotować „legowiska” i zbiec na dół do umywalni, a następnie ustawić się w bloku według podziału na komanda. Posiłki wydawane były dla poszczególnych grup, zgodnie z ilością przydzielonych do komanda więźniów.

Wszystkie czynności wykonywane były przy popędzaniu i krzyku blokowych. Opóźnionych w tych czynnościach więźniów blokowi bili i popychali, przeklinając. Po spożyciu śniadania (wszystko w ogromnym tempie), często na stojąco, więźniowie ustawiali się przed budynkiem w kolumny po pięciu w każdym rzędzie, a następnie po wielokrotnym przeliczeniu i sprawdzeniu obecności (według ilości osób w poszczególnych komandach) przeprowadzani byli na plac apelowy, gdzie o godzinie piątej rano odbywał się ogólny apel obozu. Więźniowie byli powtórnie przeliczani przez blokowego, blokführera (SS-mana), raportführera, a następnie przez komendanta obozu. Po zakończeniu odprawy-apelu więźniowie udawali się do pracy: jedni na terenie obozu, inni natomiast grupami pod stałym nadzorem uzbrojonych SS-manów (często z psami) wychodzili poza teren obozu.

Komando moje pracowało w odległości 5 km od obozu i pilnowane było przez pięciu SS-manów. Praca polegała na wykuwaniu w skalistej glebie rowów, a następnie umieszczaniu w nich rur o dużej średnicy, którymi miano przeprowadzać wodę z Dunaju do odległych sztolni kamieniołomów. Codzienną drogę do pracy i z powrotem po pracy odbywaliśmy pieszo. Posiłki obiadowe składające się z rozgotowanej kapusty, brukwi, marchwi, a w zimowym okresie z suszonych jarzyn, dostarczano nam samochodem na miejsce pracy. Zdarzały się jednak przypadki, że takiego posiłku nam nie dostarczono, a otrzymywaliśmy go dopiero łącznie z posiłkiem wieczornym na terenie obozu w bloku, w którym mieszkaliśmy.

Każdy z więźniów musiał mieć z sobą naczynie do spożycia posiłku. Każdy naczynia tego strzegł, jak źrenicy oka, bowiem kto nie miał naczynia, nie otrzymywał posiłku. Jedni mieli blaszane miski, inni ciężkie miski fajansowe, jeszcze inni – stare puszki po konserwach. To samo dotyczyło łyżek wydanych w momencie przyjazdu do podoboju w Melku. Różne też były sposoby noszenia tych naczyń, z którymi nikt się nie roztawał. Najłatwiej było przymocować miskę blaszaną. Przeważnie wybijało się w takiej misce dziurkę z boku i przywiązywało do paska. Z miskami fajansowymi były już większe kłopoty. A poza tym były ciężkie, a to przy codziennym dziesięciokilometrowym marszu odczuwało się dotkliwie. Kolacja składała się przeważnie z jednej łyżki wazowej czarnej, gorzkiej tzw. kawy i 1/8 części bochenka chleba, a także czasami łyżki twarogu albo kawałeczka margaryny (kilka gramów) lub marmolady. Zdarzało się również, że w dni świąteczne otrzymywaliśmy plasterek kielbasy. Niejednokrotnie dla własnej wygody, blokowi wydawali podwójną porcję chleba raz dziennie, rano lub wieczorem, co miało tę ujemną stronę dla więźnia, że przeważnie zjadał całodzienną rację chleba od razu i szedł głodny spać, albo też rano szedł głodny, na czczo do pracy.

Dnia 11 września 1944 roku wypadła tzw. wolna od pracy niedziela. Więźniowie pracujący poza terenem obozu mieli wolną co drugą niedzielę z uwagi na konieczność dokonania zmian w systemie pracy (prace w kamieniołomach w sztolni prowadzone były na trzy zmiany). Na apelu porannym i wieczornym był komplet więźniów (z wyjątkiem tych, którzy przebywali na rewirze). Po normalnym przeliczeniu więźniów komendant obozu zwrócił się do nowo przybyłych, ostrzegając ich przed łamaniem dyscypliny, ucieczką, która zawsze kończyła się złapaniem więźnia, a następnie jego śmiercią, a także oznajmił, że

w obozie tym nie ma prawa nikt żyć dłużej niż trzy miesiące i że wyjście z obozu jest tylko jedno – komi-nem. Kilkudniowy nasz pobyt w obozie, ciągle stykanie się z przypadkami ciężkich pobić, śmierci, stosowania ciężkich kar – jak bicie, przywiązywanie do słupa, topienie w beczce z wodą i temu podobne formy znęcania się – w zestawieniu z wypowiedzią komendanta obozu przekonało nas, że faktycznie przeżycie dłuższego okresu w tym obozie jest niemożliwe, że należy za wszelką cenę unikać sytuacji, żeby nie zostać pobitym lub zabitym, a tym samym maksymalnie przedłużyć swoje życie.

„Wolna niedziela” nie była dla więźniów dniem odpoczynku. Wymyślano różne formy udręczeń. Blokowy z mojego 13 bloku miał wyjątkowe „ambicje”, aby więźniowie z jego bloku zachowywali się na apelach jak wojsko na defiladzie. Dlatego też całymi godzinami przeprowadzał ćwiczenia (bez względu na pogodę) szybkiego ustawiania się w kolumny po pięciu lub po dziesięciu więźniów w jednym rzędzie.

Więźniowie, którzy nie zdążyli w krótkim czasie stanąć w odpowiednim miejscu kolumny, za karę musieli skakać żabką dookoła kolumny. Ćwiczone zdejmowanie i zakładanie czapki na tempo w ten sposób, aby przy komendzie „mützen ab” – słychać było jedno głośne uderzenie czapką o udo prawej nogi, a na komendę „mützen auf” – czapki musiały być równo i błyskawicznie założone na głowy. Więźniowie, którzy opóźniali te polecenia, byli karani skakaniem żabką, biciem, sprzątaniem sal, myciem podłóg itp.

Inną formą udrażania więźniów były tzw. zbiorowe mycie i dezynsekcja odzieży. W nocy, bez wcześniejszego uprzedzenia, robiono alarmy śpiącym na bloku więźniom. Wszyscy musieli rozbierać się do naga, ubranie trzeba było wiązać w kostkę, numerem na zewnątrz, które to ubranie odnoszone było przez wyznaczonych więźniów do parówki. Rozebranych więźniów (niezależnie od pogody) – w deszczu lub na mrozie, pędzono przy krzykach i biciu, do łaźni, gdzie w zależności od humoru obsługujących łaźnię puszczano zimną lub bardzo gorącą wodę.

Po kilku minutach wypędzano z łaźni jedną grupę i wpędzano na ich miejsce drugą. Więźniowie biegli do bloku, a tam czekał już na nich blokowy z innymi kapomanami i sprawdzał, czy więzień jest czysty. Jeśli uważał, że więzień nie jest dobrze umyty, albo jest zachlapany błotem, co przy szybkim biegu po błocie zdarzało się, to pędzono go powtórnie do łaźni, aż wrócił czysty. Tej nocy nikt już nie spał, bo po pewnym czasie przynoszono z parówki najczęściej mokre i już nie ułożone numerami do góry ubrania. W tych warunkach odszukanie swojego ubrania trwało bardzo długo. A na poranny apel każdy musiał wyjść ubrany. Były to dla więźniów koszmarnie noce i szczęśliwi byli ci, którzy pracowali na nocnej zmianie.

Na komandzie Keller pracowałem w pięćdziesięciosobowej grupie warszawiaków około sześciu tygodni. W początkowym okresie koledzy moi pracujący w sztolni zazdrościli nam, że pracujemy cały czas na powietrzu i tylko na jedną zmianę. Ale kiedy zaczęły się szarugi i sloty, a później mrozy, kiedy cały czas przebywaliśmy w mokrym, cienkim ubraniu, bez jakichkolwiek możliwości schronienia się przed deszczem lub ogrzania, wtedy my zazdrościliśmy tym pracującym w sztolni.

Był to dla mnie najcięższy okres pracy podczas pobytu w obozie koncentracyjnym. Pamiętam, jak z kolegą starszym ode mnie o trzy lata i mającym wówczas 19 lat Zbyszkciem Wąsowiczem nieraz z zimna i głodu pod ciekącą na nas strumieniem wodą z rur zawieszonych na łańcuchach nad rowami, które ręcznie wykuwaliśmy oskardami – po prostu płakaliśmy, bojąc się, że w takich warunkach nie mamy, o czym marzyć, aby udało nam się przeżyć te trzy miesiące, o których wspominał komendant obozu.

Pewnego dnia nasza grupa, przechodząc na inne stanowisko pracy, niosąc różne przyrządy, narzędzia, belki, łańcuchy itp. Szła nie w zwarty sposób, rozciągnięta na dość dużym odcinku drogi. Z daleka dojrzał nas jadący samochodem komendant obozu. Dojechał do nas z krzykiem, pobił naszego kapo (węgierskiego Żyda), który w porównaniu z innymi kapo był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Komendanta grupy – SS-mana (komandoführera) zawieszono w czynnościach, przekazując dowództwo grupy innemu SS-manowi. Po przybyciu z pracy do obozu, całą naszą grupę rozwiązano, przydzielając nas do innych komand.

Nie miałem szczęścia, bo przydzielono mnie do jednego z cięższych tzw. komanda Merkendorf, noszącego nazwę od miejscowości, w której budowaliśmy osiedle baraków dla zbombardowanych Wiedeńczyków. Komando to miało swą złą sławę ze względu na wyjątkowego sadystę komandoführera i wybranych przez niego pomocników SS-manów. Również warunki dojazdu do miejsca pracy po ciężkich, gliniastych drogach około 4 km w jedną stronę były ciężkie i wymagały wiele wysiłku.

Praca polegała na wożeniu taczkami żwiru, przenoszeniu ręcznie dużych żelbetonowych elementów, rozładowywaniu cementu, noszeniu w konwiach wody itp. Nie było dnia, żeby komandoführer nie pobił kilku więźniów do utraty przytomności, lub co najmniej do silnego pokrwawienia. Jego ulubionym systemem bicia więźniów było ustawianie ich przy murowanej budce i uderzanie pięścią w twarz w ten sposób, aby odrzucona do tyłu głowa uderzała o mur tej budki. Kończył przeważnie bicie, kiedy już mocno pokrwawił więźnia.

Każdy powód do bicia był dobry. Był nim: nierówny marsz w szeregu kolumny idącej do pracy, zbyt wolna jego zdaniem praca, włożony pod przemokniętą bluzę kawałek papieru z torby po cementie, niezjęcie na czas przed SS-manem czapki itp.

Jeden dzień z tego okresu szczególnie utkwił mi w pamięci. Komando nasze liczące kilkaset osób, aby dostać się do miejscowości Merendorf, część trasy odbywało pociągiem w wagonach towarowych. W tym celu, w niedalekiej odległości od stacji kolejowej Melk ustawiona była rampa drewniana, na którą wpędzano więźniów, po czym podjeżdżał pociąg towarowy. Więźniowie po załadowaniu do wagonów musieli stłoczyć się po lewej i prawej stronie wagonu w taki sposób, aby środek był wolny dla eskortujących nas SS-manów. Przewożono nas kilka kilometrów na teren budowy sztolni, gdzie zbudowana była taka sama rampa.

Tego dnia idąc do pracy poczułem, że mam trudności ze zginaniem nóg. Stwierdziłem, że spowodowane to jest puchnięciem, które z każdą chwilą potęguje się coraz bardziej. Po przewiezieniu nas na teren sztolni i wyładowaniu na rampę sformowano kolumnę. W kolumnie chodziliśmy zawsze trzymając się pod ręce w taki sposób, że trzymało się prawą ręką współwięźnia z prawej strony. Kiedy miałem zejść z rampy, miałem duże trudności ze zginaniem nóg, w związku z czym hamowałem część kolumny idącej za mną i powstała między nami przerwa. Idący z boku SS-man nakazał więźniowi idącemu z mojej prawej strony wziąć mnie pod rękę, aby przyspieszyć marsz kolumny. SS-man zareagował uderzeniem kolbą karabinu w tył głowy tego więźnia. Ten padł twarzą do przodu. Zrobiło się zamieszanie, mnie wycofano do następnej piątki, do tyłu, natomiast więźniów, na którego miejsce przesunięto mnie, wraz z drugim z mojej piątki musiał wziąć nieprzytomnego więźnia i donieść na plac, na którym odbywał się apel przed przystąpieniem do pracy. Liczba więźniów zawsze musiała być zgodna. Nieprzytomnego położono na placu obok naszej kolumny.

Po krótkim czasie do naszej grupy doszedł oberkapo przezywany przez nas cyganem (był to kryminalista z zielonym trójkątem) i kopiąc leżącego, nieprzytomnego więźnia wołał „aufstehen”. Ponieważ więzień nie reagował na to wołanie, oberkapo-cygan położył mu na szyi leżący nieopodal kołek i stojąc na nim butami, udusił swoją ofiarę. Wyczyny tego kryminalisty były ogólnie znane. Mało było bowiem dni, w których nie przyniesiono by do obozu zamordowanego przez niego więźnia. Ulubionym sposobem mordowania było topienie ofiary poprzez zanurzanie jego głowy w beczce z wodą.

Tego dnia po przyjsciu wieczorem z pracy udałem się na rewir, gdzie zawsze wieczorem przyjmowali chorych więźniów na badanie lekarze-współwięźniowie. Decyzję pozostawienia chorego więźnia na leczenie w szpitalu musiał jednak zaakceptować lekarz SS-man.

Byłem spuchnięty aż do pasa. Spodnie musiano mi rozpruć. Podjęto decyzję zatrzymania mnie w szpitalu.

Choroba ta zwana popularnie odmą była spowodowana przede wszystkim głodem, ale także warunkami zewnętrznymi, ogólnym wycieńczeniem organizmu.

Przebywanie na rewirze uważane było przez więźniów za wielkie szczęście, ponieważ człowiek nie musiał iść do wyczerpującej pracy, przebywał pod dachem, miał większe możliwości zdobycia pożywienia z uwagi na to, że wielu chorych, szczególnie tych z bardzo wysoką temperaturą nie przyjmowało pokarmów, natomiast odczuwało bardzo silne pragnienie. Chorzy wymieniali jedzenie na płyn (kawę). Warunki na rewirze były bardzo ciężkie. Do leżenia przygotowane były piętrowe prycze, a na każdym pojedynczym miejscu, w zależności od okresu, leżało trzech, a nawet czterech więźniów. W okresie jesienno-zimowym liczba chorych więźniów gwałtownie wzrastała. Śmiertelność również. O ile w miesiącach wczesnojesiennych zmarłych więźniów odwożono do spalania w krematorium w Mauthausen, kiedy na terenie Melku był tylko jeden barak rewirowy, to pod koniec 1944 roku zbudowano już drugi blok rewirowy, a także krematorium, w którym palono zmarłych i pomordowanych więźniów.

Więźniowie przebywający na rewirze, którzy mogli się jeszcze poruszać, musieli wykonywać szereg różnych prac zleconych im przez komendanturę rewiru. Były to między innymi: prace porządkowe, przynoszenie żywności z kuchni, dowożenie innego zaopatrzenia, transport zmarłych więźniów itp. Pamiętam, jak pewnego dnia wysłano mnie do piwnicy celem przepchania zatkanego przewodu kanalizacyjnego. Kiedy schodziłem na dół, z przerażeniem stwierdziłem, że w piwnicy tej znajduje się wiele trupów rzuconych na stos bezładnie i aby dostać się do zatkanego przewodu znajdującego się pod sufitem, muszę wspiąć się po tych trupach. Świadomość konsekwencji niewykonania polecenia była silniejsza od strachu. Myśl, że będę musiał chodzić po trupach moich kolegów-obozowiczów przerażała mnie dodatkowo. Mimo straszliwych oporów wewnętrznych, musiałem wykonać polecenie. Do dziś pamiętam trzask kruszonych pod moimi nogami kości, mimo tego, że starałem się wchodzić możliwie ostrożnie i delikatnie. Najgorsze było to, że pod zawieszoną pod sufitem rurą musiałem przejść na drugą stronę schylając się bardzo nisko, prawie czolgając po nieboszczykach. Przerażające jeszcze było, że ten stos pod naciskiem moich nóg rozsuwał się. Wydawało mi się, że ręce i nogi nieboszczyków unoszą się. Nigdy tego nie zapomnę!

Pobył na rewirze trwał zaledwie kilka dni. Przebywanie we względnie ciepłym pomieszczeniu i fakt, że nie chodziłem do pracy, a prze-bywałem w łóżku, spowodował, że opuchlizna ustąpiła. Ponieważ co kilka dni w godzinach rannych komendant rewiru (lekarz SS-man) dokonywał przeglądu więźniów, a ja nie miałem już temperatury; zdecydował, że mam wrócić na swój blok.

Tego samego dnia wyznaczono mnie do pracy na nocnej zmianie. W komandzie Czernichowski Lochschuppen. Była to piętnastoosobowa grupa więźniów, której zadaniem było rozładowywanie wagonów na terenie budowy sztolni. Był to przeważnie cement, żwir, tłuczeń kamienny i inne materiały budowlane. Praca była bardzo ciężka, cały czas na powietrzu podczas ślot, zadymek, przymrozków, silnych wiatrów. Należy przy tym pamiętać, że odzież nasza nie była przystosowana do pracy w takich warunkach. Na grzbiecie miałem tylko koszulę i cienką bluzę oraz z takiego samego materiału w pasy fartuch zwany „mantlem”. Moje buty, w których przybyłem do obozu dawno uległy zniszczeniu, dostałem drewniane trepy, które przywiązywałem drutem do nóg, ażeby nie spadały. O skarpetach nie było mowy. Nogi najczęściej okręcało się jakimiś szmatami, albo papierem z toreb po cemencie. Niektórzy chodzili bosy, bo nie mieli trepów.

Innym zdarzeniem, które szczególnie utkwiło mi w pamięci, był okres Bożego Narodzenia 1944 roku. W wigilię do pracy w sztolni wyjechała tylko pierwsza zmiana, ponieważ przerwa w pracy miała trwać przez okres dwóch dni Świąt Bożego Narodzenia. Tego dnia jak zwykle po zakończeniu pracy, a było to około godziny 15.00, zarządzono apel wszystkich pracujących więźniów na terenie sztolni. Należy dodać, że apele takie odbywały się zawsze przed rozpoczęciem i po zakończeniu pracy. Każdy kapo spisywał rano numery więźniów pracujących w jego grupie i meldował komandoführerowi stan liczbowy w grupie. Po zakończeniu pracy, kapo ponownie zbierał grupę i sprawdzał, czy wszyscy są obecni. Stan musiał być zgodny. Jeżeli któryś z więźniów zmarł lub został w czasie pracy zamordowany, wówczas kładło się zwłoki obok grupy. Wyznaczony przez komandoführera SS-man – raportführer – sumował stany osobowe poszczególnych grup i sprawdzał, czy są one zgodne ze stanem przed rozpoczęciem pracy, a tym samym ze stanem osób, które wyprowadzono z terenu obozu.

W Wigilię, po zakończeniu pracy, długo i wielokrotnie liczono. Nie zgadzał się bowiem stan osobowy jednej z grup. Brakowało więźnia, jak się później okazało – Polaka, przywiezionego kilka dni wcześniej z Oświęcimia. Tego dnia padał mokry śnieg z deszczem. Teren sztolni był duży. Było bardzo wiele miejsc, gdzie można było się ukryć. Wiadomo było wszystkim, że na okres Bożego Narodzenia pilnujący w budkach wartowniczych SS-mani pojedą wraz z nami do obozu do swoich koszar i teren miejsca pracy nie będzie pilnowany. Prawdopodobnie więzień ten miał nadzieję, że uda mu się w tym czasie uciec z obozu. Zdenerwowanie wśród SS-manów, jak też wszystkich pilnujących nas osób funkcyjnych było bardzo duże. O ile pamiętam, w obozie naszym dawno nie było próby ucieczki, a wszystkie poprzednie kończyły się złapaniem więźnia i zamordowaniem. Na placu apelowym trzymano nas do późnych godzin wieczornych bez jedzenia, na mokrym śniegu, w coraz większym błocie. Około godziny 22.00 przyjechała duża grupa SS-manów, którzy zmienili wartowników na wieżyczkach i wtedy podstawiono pociąg, którym przewieziono nas do miasta Melk. Idąc do obozu ze stacji, cały czas pod górę, widzieliśmy w oknach mieszkańców tego miasta światła na choinkach, słychać było śpiew kolęd.

Tego dnia pędzący nas SS-mani zachowywali się wyjątkowo brutalnie. Po przyjeździe do obozu zobaczyliśmy na placu apelowym piękną, dużą, oświetloną choinkę. Na blokach wydano nam po pół chleba na cały okres Bożego Narodzenia, a także każdemu z więźniów przydzielono szczyptę pokrojonych korzeni i liści tytoniowych. Był to świąteczny przydział i jedyny, jaki pamiętam, dla wszystkich więźniów. Następnego dnia w bardzo wczesnych godzinach rannych zarządzono na placu apelowym zbiórkę dla osób funkcyjnych, to jest blokowych, kapo i policji obozowej. Po wybraniu dużej grupy ludzi, więźniowie ci wraz z dużym oddziałem SS-manów pojechali na teren sztolni szukać więźnia.

Dla więźniów, którzy zostali na blokach, dzień rozpoczął się normalnie. Po porannym apelu wróciliśmy do bloku i zaczęto wydawać więźniom kawę, która tego dnia wyjątkowo była nieco inna, lekko słodka, prawdopodobnie zmieszana z suszonymi, palonymi burakami cukrowymi. Chleb otrzymaliśmy, jak już wspomniałem, poprzedniego dnia na cały okres świąteczny. Dla mnie dzień ten zaczął się wyjątkowo źle. Podchodząc do kotła z kawą, natknąłem się na blokowego, który zwrócił uwagę, że na szyi mam flanelową szmatę.

Była to flanelowa opaska, jaką Niemcy wydali niektórym więźniom będącym pewnego dnia na bloku. Tę flanelową opaskę dał mi do zwrotu idący na kilka dni wcześniej na rewir pan Wierzbowski, ojciec mojego szkolnego kolegi, wieloletni woźny Szkoły Graficznej przy ul. Konwiktorskiej w Warszawie. Blokowemu nie podobało się, że tą opaską mam owiniętą szyję. Zerwał mi ją z szyi, a następnie kazał mi rozebrać się do naga i oddać wszystkie rzeczy do dezynsekcji. Ponieważ pracowałem przy transporcie cementu, nosząc worki, które niejednokrotnie były popękane, miałem ślady cementu na głowie oraz na szyi. Warunki w obozie nie pozwalały nam na utrzymanie czystości, gdyż we wspólnej umywalni i ubikacji nie zawsze była woda, nawet zimna. Brak było mydła, nie było ręczników do wytarcia, a do tego jeszcze miałem odmrożone ręce z otwartymi ranami na palcach.

Blokowy zawołał jednego z młodych więźniów, pełniącego funkcję stubediensta (porządkowego), dał mu szczotkę ryżową i kazał mnie zapędzić do umywalni i tą szczotką wyszorować. Umywalnia ta znajdowała się w małym budynku obok bloku w odległości około 30 m od wejścia do bloku.

W tym dniu rozpoczęły się silne mrozy trwające już nieprzerwanie do połowy marca. Wszystkie drzewa, druty, pokryte były białym szronem.



Miałem jednak trochę szczęścia, ponieważ stubedienst był Polakiem ze Śląska i starał się pomóc mi w usunięciu śladów cementu, jedynie możliwie lekko pocierając szczotką z wodą, mydła nie dostałem. Tego dnia cały czas chodziłem okryty tylko kocem. Tak przetrwałem aż do następnego dnia, kiedy wydano mi mokre ubranie.

W pierwszy dzień Świąt, w godzinach popołudniowych powróciła do obozu grupa więźniów funkcyjnych wraz z SS-manami. Przywieziono także pobitego więźnia, którego poprzedniego dnia nie można było znaleźć. Ukrył się on bowiem w jednej z rur kanalizacyjnych. Niestety, uciec nie mógł, ponieważ cały teren strzeżony był silnie przez posterunki SS zarówno na wieżyczkach wartowniczych, jak i po-ruszające się patrole. Na wieczornym apelu, więźnia tego, okrytego jakimś kolorowymi szmatami, niosącego tablicę z napisem w języku niemieckim o treści: „uciekłem, zostałem złapany”, przeprowadzono przed frontem wszystkich więźniów stojących na placu apelowym w grupach według numeracji bloków. Jak mi wiadomo, w stosunku do tego więźnia zastosowano swoistą formę amnestii z okazji Bożego Narodzenia. Nie otrzymał normalnej w takich przypadkach porcji 75 batów i nie przywiązano go na dwie, trzy doby do słupa bez jedzenia i picia. Nie wiem natomiast (nie pamiętam), czy wysłano go do karnej kompanii do Mauthausen.

Jak już wcześniej wspomniałem obóz Mauthausen był centralnym obozem dla całego systemu obozów na terenie Austrii. Na początku 1945 roku liczba więźniów w tych obozach dochodziła do 85 tysięcy. Pod względem liczby więźniów podobóz Melk wymieniany jest na czwartym miejscu i liczył w tym czasie ponad 10 300 więźniów<sup>2</sup>.

Śmiertelność więźniów w obozie, z uwagi na panujące warunki, była bardzo duża. Co pewien czas przychodziły kilkusetosobowe nowe transporty więźniów na miejsce tych, którzy już nie żyli, a których trzeba było zastąpić w pracy. Po Nowym Roku napływ więźniów znacznie się zmniejszył z uwagi na przesuwający się front do granic Niemiec. W tej sytuacji więźniowie zmuszani byli do pracy nie tylko na jednej zmianie.

Około połowy lutego 1945 roku po powrocie z pierwszej zmiany, zostałem powiadomiony przez schreibera blokowego, że mam pójść do pracy na nocną zmianę, a więc za kilka godzin. Po otrzymaniu posiłku wieczornego, mając jeszcze przed sobą dwie godziny do apelu przed wyjściem do pracy, wyczerpany już fizycznie do granic wytrzymałości, przemarznięty, z narażeniem na karę, położyłem się na górnej pryczy, w kącie baraku i usnąłem. Obudziły mnie krzyki i zamieszanie w bloku. Usłyszałem swoje nazwisko kilkakrotnie wywoływane, co w warunkach obozowych nie zdarzało się, albowiem posługiwano się wyłącznie numerami więźniów. Nie wiedziałem, co się dzieje. Okazało się, że po sprawdzeniu więźniów przed wyjściem na plac apelowy, w komandzie brakuje jednego z nich. Stwierdzono na podstawie kartotek, że tym więźniem jestem właśnie ja. Koledzy powiedzieli mi, że numer mój wywoływany był wielokrotnie przez więźniów funkcyjnych i innych, a następnie zaczęto wywoływać moje nazwisko. Zerwałem się szybko z pryczy i pobiegłem w stronę ustawionej kolumny. Zobaczył mnie schreiber i blokowy. Natychmiast wymierzono mi karę. Kazano mi położyć się na stole, po czym blokowy uderzył mnie gumą 10 razy po plecach. Kiedy schodziłem ze stołu, jeszcze raz uderzył mnie w głowę. Kolumna więźniów z bloku 13 szybko udała się na plac apelowy. Więźniowie z wszystkich bloków już stali. Byliśmy ostatni, którzy zajęli swoje miejsce na placu apelowym. Blokführer SS-man zaczął krzyczeć na naszego blokowego, dlaczego spóźniliśmy się? Na co ten odpowiedział, że jeden z więźniów schował się, bo nie chciał iść do pracy. W wyniku tej informacji komendant obozu polecił policjantowi obozowemu (lagerpolizei) wymierzyć mi 25 „bykowców”. Ile „razów” dostałem nie wiem, pamiętam tylko, że doliczyłem na głos do czternastu. Liczenie głośne należało do obowiązku skazanego na bicie. Po odliczeniu głośno „czternaście” straciłem przytomność.

Tego dnia nie poszedłem już z komandem do pracy. Koledzy-więźniowie zanieśli mnie na rewir. Po kilku dniach wezwano mnie do pokoju, w którym urzędował lekarz SS-man. Byłem badany przez kilku lekarzy, między innymi przez lekarza w mundurze SS.

Następnego dnia, lub dwa dni później (dokładnie nie pamiętam) poddano mnie zabiegom. Otrzymałem kilka zastrzyków w nogę, powyżej kolana. W następnych dniach robiono mi okłady z jakiegoś ciemnego płynu, po których to zabiegach dostałem wysokiej temperatury. Noga spuchła mi, przybierając kolor czerwono-siny, a następnie zaczęły się tworzyć ropiejące rany na stopie, ponad kostką, pod kolanem oraz pod prawą pachą. Sanitariusz-więzień nazywany przez nas „Diadia Jasza” powiedział mi, że jest to „flegmona”. Według krążących po rewirze pogłosek, lekarze hitlerowscy prowadzili w tym czasie ekspertymenty związane z tą chorobą. Wszyscy chorzy leżący razem ze mną w jednym pomieszczeniu byli podobnie jak ja z ropiejącymi ranami. Z braku miejsc leżeliśmy po trzech, czterech na jednym pośłaniu. O śnie w ogóle nie mogło być mowy, ponieważ jeden drugiego bez przerwy urażał. Na mojej pryczy leżało nas

<sup>2</sup> Informację zaczerpnąłem z książki St. Dobosiewicza Mauthausen-Gusen obóz zagłady, Wyd. MON 1977. W książce tej oraz jej drugiej części wydanej w 1980 roku autor zawarł bardzo bogaty materiał faktograficzny dotyczący martyrologii więźniów tych obozów oraz całego systemu organizacji maszyny zmierzającej do unicestwienia więźniów poprzez różne formy działania.

czterech, po dwóch z obu stron, nogami do siebie. Tak się złożyło, że moje miejsce było usytuowane z lewej strony, a więc moja chora noga była wciąż narażona na urazy. Leżeliśmy z nogami podkurczonymi.

Dodatkową plagą była niesamowita ilość wszy. Leżeliśmy nago, bez bielizny, przykryci jedynie jedną derką. Pod zawijane taśmami papieru opatrunki dostawało się robactwo i oprócz bardzo silnego bólu dokuczało także niesamowite swędzenie. Śmiertelność chorych więźniów była bardzo duża. Niejeden więzień, leżący razem ze mną na jednym łóżku zmarł, a na jego miejsce czekali już inni. W takich warunkach przeleżałem aż do pierwszych dni kwietnia, to jest do ewakuacji obozu.

W nocy poprzedzającej dzień ewakuacji nikt nie spał. Więźniowie funkcyjni biegali zdenerwowani. Rozeszła się wiadomość, że zdrowi będą ewakuowani do Mauthausen pieszo, natomiast chorych będą likwidować. Wśród chorych na rewirze powstała panika. Tak dotrwaliśmy do świtu. Rano na teren obozu przyjechały samochody ciężarowe (podobno były też furmanki) i zaczęto na nie ładować chorych więźniów z rewiru. Następnie przewieziono nas na stację kolejową w Melku, gdzie stał pociąg towarowy. Więźniowie, którzy mogli się poruszać, sami wchodzili do wagonu. Pozostałych chorych wrzucano do wagonu jak snopy siana. W zadrutowanych wagonach wożono nas ponad dwie doby bez odrobiny jedzenia i picia, często trzymano nas na bocznicach. Trzeciego dnia rano pociąg zatrzymał się na stacji w Mauthausen. Cały czas nie wiedzieliśmy, jaki nam gotują los. Wagony zostały otoczone przez uzbrojonych wartowników (nie tylko SS-manów) i znów wśród krzyku i poganiania wyrzucano chorych więźniów z wagonów na peron. Padał drobny, gęsty deszcz, było bardzo zimno. Z wagonu naszego wyrzucono kilku nieżywych już więźniów. Podobnie z innych wagonów. Chorych więźniów przewożono do obozu samochodami ciężarowymi i chłopskimi furmankami. Z uwagi na małą ilość środków transportowych, przewożenie to trwało kilka godzin. Pierwsi do obozu pojechali ci, którzy mogli poruszać się sami. Inni chorzy czekali, aż w jakiejś kolejności wrzucą ich na samochód lub furmankę. Po kilku godzinach leżenia na peronie, na gołej ziemi, przemarznięty do szpiku kości, zobaczyłem znajomego więźnia, który pomagał ładować chorych na samochód. Zawołałem go ostatkiem wydobytych z siebie sił. Znajomy ten wraz z drugim więźniem zaniósł mnie do stojącej ciężarówki. Po przejściu przymusowej „mykwy”, jaka obowiązywała zawsze przy przyjęciu więźnia do obozu, rozebranych do naga, tych co mogli jeszcze chodzić popędzono na rewir. Innych, wśród nich i mnie, wyznaczeni do tego więźniowie zawieźli czterokołowym wózkiem.

Warunki były okropne. Na rewirze przebywało w tym czasie kilka tysięcy chorych. Chorzy otrzymywali połowę głodowych racji żywnościowych, jakie wydawano więźniom w centralnym obozie. Na pryczach przeznaczonych dla jednej osoby leżeliśmy po czterech. Położono mnie na najniższym poziomie. Wraz ze mną leżał młodszy ode mnie chyba o rok, a więc piętnastoletni Józio Rosołowski. Jego starszy brat zginął w obozie.

Pewnego dnia (dokładnej daty nie pamiętam) jeden ze współwięźniów leżących z nami na pryczy zmarł. O fakcie tym nie powiadomiliśmy „flegera” opiekującego się naszymi pryczami. W ten sposób przejmowaliśmy jego racje żywnościowe, którymi dzieliliśmy się między sobą. Głód był silniejszy od tego, że wśród nas leży nieżywy człowiek. Stan taki trwał około trzech dni.

Około połowy kwietnia rozeszła się na rewirze wiadomość, że część chorych więźniów zostanie przewieziona z rewiru do obozu centralnego, gdzie otrzymywać będą większe racje żywnościowe dla poprawienia ich stanu zdrowia. Dawało to iskierkę nadziei na przeżycie i doczekanie wyzwolenia, tym bardziej, że było nam wiadomo, iż w kierunku obozu zbliżają się z jednej strony wojska radzieckie, z drugiej zaś amerykańskie. Opiekującym się nami „flegere” był Polak z Warszawy – stary więzień, noszący numer niewiele ponad dwa tysiące. Pamiętam tylko, że przed aresztowaniem mieszkał przy ul. Wspólnej. Niestety nazwiska jego nie znam.

Rewir, w którym przebywałem, znajdował się poniżej centralnego obozu. I właśnie w czasie, kiedy mówiło się o przewiezieniu niektórych więźniów na górę, przyszedł do nas ów „flegere”. Powiedział mi oraz Józiovi Rosołowskiemu, żeby nie zgłaszać się w przypadku wywołania naszych numerów jako tych, których mają przewieźć na odżywienie. Powiadomił nas również, że podmienił nam numery na nieżyjących Francuzów. Ta informacja, jak również fakt, że podczas zabierania chorych z rewiru, bloki były obstawione SS-manami, świadczyły, że cel zabrania chorych więźniów był zupełnie inny, aniżeli ich odżywienie. Ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero po wyzwoleniu. Więźniowie wybrani z rewirów w połowie kwietnia – byli gazowani.

Niewielkiej tylko liczbie więźniów udało się przeżyć, ponieważ nie zdążono ich zagazować. Krematorium paliło tylko więźniów zagazowanych. Tych, którzy sami zmarli, wyrzucano z bloku na zewnątrz. W momencie wyzwolenia na stosach leżały setki trupów, których pochowano w zbiorowych mogiłach obok obozu.

Obóz Mauthausen został wyzwolony przez armię amerykańską 5 maja 1945 roku w godzinach przedpołudniowych. Dnia 5 maja władzę w obozie przejęły komitety narodowe więźniów, a 7 maja wojska amerykańskie. Natychmiast zorganizowano pomoc sanitarną. Najciężej chorych przewieziono do obozu centralnego, gdzie w jednym z bloków zorganizowano szpital ewakuacyjny oznakowany numerem 130.

W tym też dniu przewieziono mnie na noszach samochodem sanitarnym Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Byłem skrajnie wyczerpany, nie miałem nawet możliwości samodzielnego pożywiania się. Dodać muszę, że przy wzroście około 172 cm ważyłem zaledwie 34 kg. Karmili mnie między innymi dwaj moi koledzy przebywający także na rewirze, ale poruszający się jeszcze o własnych siłach. Byli to Zbyszek Wąsowicz, z którym od urodzenia mieszkaliśmy w jednym domu przy ul. Zakroczymskiej 1 i z którym razem zabrany zostałem z Warszawy oraz Zdzisław Piskorek, z którym razem rozpoczynałem walkę w Powstaniu Warszawskim, a którego spotkałem dopiero w Mauthausen na rewirze.

Dnia 9 maja 1945 roku dokonano mi transfuzji krwi oraz poddano operacji. Operowano mi nogę w pięciu miejscach, zakładając dreny. Lekarzem, który mnie w tym szpitalu leczył, był Japończyk, kpt. Kawasaki.

W szpitalu leżałem aż do czasu powrotu do Kraju, to jest do połowy sierpnia 1945 roku. Wróciłem o kulach, z poważnym skurczem ścięgien pod kolanem, w obozowym pasiaku. Droga powrotna do Kraju była bardzo ciężka. Przez pierwsze kilka dni jechaliśmy odkrytymi wagonami towarowymi, które często odstawiane były na bocznicę, zatrzymywane w polu, doczepiane do różnych pociągów. Żywność musieliśmy zdobywać na własną rękę. Ponieważ nie mogłem poruszać się swobodnie, byłem na łasce współtowarzyszy. Dopiero w Bratysławie do dyspozycji powracających z obozu Polaków oddano wagony osobowe, którymi dotarliśmy do punktu granicznego w Petrowicach. Tam przesiedliśmy się do polskich wagonów i dojechaliśmy do Dziedzic, do punktu repatriacyjnego. Podróż trwała 7 dni. W Dziedzicach ulokowano mnie na punkcie PCK i po załatwieniu formalności związanych z repatriacją pragnąłem jak najszybciej udać się w dalszą drogę do rodziny. Byłem jeszcze bardzo słaby, ale ważyłem już 42 kg! Otrzymałem zaświadczenie repatriacyjne uprawniające mnie między innymi do bezpłatnego przejazdu do rodziny w Dęblinie oraz 100 złotych zapomogi.

W miarę zbliżania się celu mojej podróży coraz bardziej wzrastał mój niepokój o losy rodziny. Nie miałem przez cały czas żadnych wiadomości. Mój szczęśliwy powrót do Kraju nie był radosny, ponieważ dowiedziałem się, że cztery osoby z najbliższej mojej rodziny nie żyją. Jak się bowiem dowiedziałem, wkrótce po moim rozstaniu z mamą i młodszymi siostrami na terenie magazynów w Warszawie na Stawkach w dniu 31 sierpnia 1944 roku z kolumny, w której była moja mama i siostry, Niemcy wyciągnęli dużą grupę ludzi starych, chorych a także dzieci, mówiąc że ludzie ci zostaną odwiezieni samochodami do obozu w Pruszkowie. Dopiero po wyzwoleniu okazało się, że wszystkich zamordowali na terenie fabryki przy ul. Okopowej. W grupie tej znalazła się moja mama Anna mająca wówczas 44 lata oraz siostry Basia (lat 12) i Wandeczka (lat 4 i pół). W grupie tej Niemcy zamordowali również moich najbliższych sąsiadów: panią Cecylię Kamińską, panią Janinę Wąsowicz i jej dwudziestojednoletnią córkę Hannę, pana Józefa Tarczyńskiego z trzydziestokilkuletnią córką Stanisławą, panów: Józefa Wiaczkisa, Tadeusza Łopackiego, Tadeusza Marchlewskiego (byłego dyrektora fabryki „Polski Fiat”), pana Mariana Krzemieńskiego, małżeństwo o nazwisku Krowirando z dwudziestoczteroletnią córką Krystyną oraz małżeństwo z trojgiem dzieci poniżej dziesięciu lat, których nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

Należy dodać, że prawie wszyscy pozostali moi sąsiedzi zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, gdzie wielu z nich zginęło. Wraz ze mną do Mauthausen wywieziono panów: Władysława Kielbase, Stanisława Kabata, Jankowskiego (imienia nie pamiętam), Henryka Kamińskiego (lat 21), Władysława Łopackiego (lat 21) i Zbigniewa Wąsowicza (lat 19). Z tej grupy przeżył obóz tylko pan Władysław Kielbasa i Zbigniew Wąsowicz. Natomiast kobiety zostały wywiezione do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. W grupie tej znalazła się moja starsza siostra Maria (lat 19) oraz panie: Eleonora Krzemieńska wraz z córką Janiną, Zofia Wiaczkis, Irena Kamińska (lat 19), Stanisława Wasilewska (jej siedemnastoletni syn Władysław został ranny w akcji na Czerniakowie i zamordowany przez hitlerowców w szpitalu polowym), p. Jankowska (imienia nie pamiętam) oraz gospodyni dyrektora Tadeusza Marchlewskiego – p. Łodzia (nazwiska nie pamiętam). Po odbyciu kwarantanny zostały przewiezione do obozu koncentracyjnego Neuengamme, podobóz Beendorf, skąd z grupą chorych więźniarek w ramach akcji humanitarnej prowadzonej przez Szweda, hrabiego Bernadotte, zostały przewiezione na leczenie do Szwecji. Miało to miejsce jeszcze przed wyzwoleniem obozu 1 maja 1945 roku.

Wraz z wymienioną grupą kobiet zostały wywiezione do Ravensbrück: pani Mery Jackson-Skryżalin (Angielka – żona pana Mikołaja Skryżalina) oraz pani Zofia Bem. Po krótkim pobycie w Ravensbrück obie zostały wywiezione prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Od tej pory ślad po nich zaginął.

Po moim powrocie do Kraju dowiedziałem się również, że podczas powstania 10 września 1944 roku na placu Trzech Krzyży zginął mój starszy brat Waclaw. Z mojej najbliższej rodziny jedynie mój ojciec uniknął obozu koncentracyjnego, a to dlatego, że w momencie wybuchu Powstania znalazł się w okolicach ul. Złotej i nie mógł dotrzeć do domu na Starówkę. Po Powstaniu został wywieziony w okolice Opoczna.

W okolicach Dębłina przebywałem do końca października 1945 roku u dalszej rodziny. Tęsknota za rodzinnym miastem była tak silna, że nie mając żadnych widoków na możliwość podjęcia jakiegokolwiek pracy, przyjechałem wraz z ojcem do Warszawy. Byliśmy bez środków do życia, bez dachu nad głową. Mój

ojciec miał wówczas 62 lata, był inwalidą z uszkodzonym stawem prawej ręki. Nie nadawał się do żadnej pracy.

Zaopiekowała się nami dalsza rodzina, przyjmując nas do pomieszczenia znajdującego się w piwnicy pięciopiętrowego budynku przy ul. Senatorskiej 19. Cztery oficyny tego domu były wypalone, w podwórku na trawniku było kilkanaście grobów. Nikt oprócz tej jednej rodziny koczującej w piwnicy w tym domu nie mieszkał. W pomieszczeniu, do którego nas przygarnięto, przebywało już osiem osób, a czasami i więcej. Spaliśmy na podłodze, rozkładając papierowe sienniki. O bardzo ciężkich warunkach życia może świadczyć fakt, że do najbliższej studni, z której można było czerpać wodę do picia, musieliśmy chodzić aż na ul. Mokotowską, a w późniejszym czasie na ul. Bednarską. Mimo tych warunków zdecydowałem się zostać z ojcem w Warszawie. Nie wyobrażałem sobie, abym mógł mieszkać gdzie indziej. Stopniowo trzeba było przyzwyczaić się. Było mi bardzo ciężko, nie mogłem pracować, poruszałem się przy pomocy kul.

W tak krótkiej relacji nie sposób jest opisać wszystkich przeżyć obozowych, tej straszliwej gehenny, tego upodlenia człowieka, a także warunków, w jakich przyszło mi żyć po wyzwoleniu.

Maturę zdawałem już jako dorosły człowiek, a następnie, po dziesięciu latach przerwy podjąłem studia wyższe uzyskując dyplom magistra ekonomii.

W 1981 roku, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Jestem inwalidą wojennym II grupy. Pomimo upływu tylu lat od tamtych straszliwych przeżyć obozowych, nie raz budzę się w nocy z łomotaniem serca, albo też spocony ze strachu w wyniku koszmarnych snów, w czasie których na nowo przeżywam pobyt w obozie. Skutki różnych chorób nabytych w obozie, a przede wszystkim flegmony (ropowicy) trwają do dziś.

W tej relacji starałem się opisać tylko te momenty, które wbiły mi się w pamięć w jakiś szczególny sposób. W obozie byłem więziony przez 244 dni. Okres ten powinno się podawać w minutach, albo nawet w sekundach, bowiem w każdej sekundzie więźniowi groziła śmierć.

Mając tak tragiczne doświadczenia z wojny, uważam, że najważniejszą sprawą dla człowieka jest życie w pokoju. Wojna przynosi obok straszliwych zniszczeń potworne zezwierzecenie. Człowiek dla drugiego człowieka staje się wilkiem. Trzeba robić wszystko, aby nigdzie i nigdy więcej ludzie ludziom nie zgotowali takiego losu, aby żyjące i następne pokolenia nie przeżywały tego, co nam wypadło przeżyć.

Warszawa, czerwiec 1988 rok